

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



## Kurczątka.

— Tu tu tu! dzieciaczki moje!  
Tu tu tu! — kokoszka woła —  
— Już spać poszły muszek roje,  
Wnet zapadnie noc dokoła.  
Pójdźcież do mnie, dziatki, żywo,  
Tu pod skrzydła, tu co duchu,  
Przepędzicie noc szczęśliwą  
W ciepłe, w ciszy, w miękkim puchu.  
Na kokoszkę, na jej dzieci,  
Dziewczyneczka patrzy z boku,  
A kurczątek chmara leci,  
A dziewczynka łzę ma w oku:  
— O! szczęśliwe te kurczęta,  
Czy noc ciemna, czyli słota,  
O nich matka wciąż pamięta,  
O mnie nikt, bo jam sierota!

Wtém ku niebu same z siebie  
Oczy zwróca się dziewczątka,  
I utoną w jasnym niebie,  
I znów spojrzą na kurczątka.

Cicha radość w nich zaświeci,  
Bo sierotka zrozumiała,  
Że jest Ktoś, kto kocha dzieci,  
W kim nadzieja sierot cała.

M...a.

## BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg.)

III. BRANCY. — STEP. — STRASZNY NOCLEG. — PIEŚŃ. —  
OBÓZ HANA.

Dzień Wniebowzięcia N. P. przeszedł cały na modlitwie; zrana spowiedź, po której tłumy pątników przystępowały do Stołu Pańskiego; w ich liczbie wdowa z córką, Wincentowie oboje z Halką i nieznajomy młodzieniec, który im towarzyszył i znów krzyżem leżał przez całą mszę w kaplicy cudownej N. Maryi Panny. Po sumie i posiłku poszli na nieszpór, tak że dopiero wieczorem zasiedli znów wszyscy u komina, na którym, mimo że wieczór był ciepły, płonąła z trzaskiem jedlina pachnąca.

— Teraz — odezwał się pan Wincenty Godzawa — kiedyśmy już Panu Bogu oddali cześć i chwałę, musisz nam, młodzieńcze, opowiedzieć, zkąd tu do nas przybywasz, a zdaje mi się, że masz co opowiadać, choćby i do północks, boś sam wspominał, że w dalekich bywałeś krajach.

— Oj, bywałem, dobrodzieju mój, choć nie z własnej woli i chęci; długoby o tém mówić, ale kiedyście łaskawi pytać, będę mówił o wszystkim wam, coście mnie sierotę do ogniska waszego przysgarnęli.

Dziewczęta przysunęły się ciekawie do komin; pani Wincentowa przyłożyła kilka gałęzi do ognia, a wdowa łzawém okiem wpatrzyła się w młodziana, jak gdyby serce jego przeniknąć chciała do głębi, ten zaś tak mówił:

— Wracam z tatarskiej niewoli, cudowną ręką Bożą wyrwany z rąk pohańców, co wydarłszy mi rodzinę i ojczyznę, jeszcze mi duszę zgubić chcieli na wieki, namawiając i przymuszając niejako wyrzec się wiary ojców. Ale z Bożą pomocą wszystko się przetrwało i oto u stóp Matki Częstochowskiej leżąc w prochu, całowałem tę ziemię ojczystą, której lat dziesięć z górą oczy moje nie oglądały.

— Jakżeto i zkąd dostaliście się w moc pohańcom? powiedzcie nam.

— Nie mogę sobie przypomnieć samęj chwili porwania, ale potem wszystko mi się w oczach przesuwają, jakby szereg obrazów dziwnych, okropnych, że mię dziś dreszcz przejmuje, gdy to w pamięci widzę: Stoimy na stepie, noc, ogniska palą się wokoło, a przy nich dzikie twarze Tatarów. Ci porozciągali się na trawie i grają z sobą w kości, a który wygra, krzyknie jak dzikie zwierzę i zabiera drugiemu coś ze złupionej zdobyczy; ten podrzuca do góry kielich szczerozłoty, złupiony z jakiegoś kościoła, tamten narzucił na plecy kapę lub ornat złotem haftowany, tylko zamiast rubinów błyszczą na nim świeże jeszcze krwi krople; inny okręca głowę sutym pasem polskim, w różnobarwne kwiaty srebrem przetykane — a wszystko błyszczy dziwnie przy świetle ogniska, jak gdyby szatany w piekle igrzyska jakieś wyprawiały.

I mnie się to tak wydawało, kiedym rzucił trwożne spojrzenie dokoła. Wokoło mnie płacz i jęki; staliśmy powiązani, spętani w gromadę wielką, niby trzoda owiec; ci już ze znużenia na ziemię poopadali, tamci przykucnęli na zranionych i potłuczonych nogach, inni jeszcze stali, wspierając się plecami jedni o drugich, a byli tam i mężczyźni wysocy i barczyści: ten z odrąbaną ręką, ów płaćnięty przez czoło, z krwią skrzepłą na oczach i twarzy; ale najwięcej niewiast, niejedna z małym dzieciątkiem u piersi, blada i spłakana, jak ta Matka Bolesna, co ją w naszych kościołach widać na obrazie nieraz, i dziewczęta o długich kosach, któremi po dwie lub trzy razem Tatarzy je pozwiązywali, albo pacholeta małe, jak ja i brat mój młodszy, co się płacząc do mnie tulił.

I my obaj byliśmy krwią zbryzgani; Tatarzyn, co mnie porwał, opowiadał później, że się broniłem, jak małe lwiątko i w końcu tak go zębami za rękę uchwyciłem, że mnie z bólu i złości płaćnął przez głowę krzywym swoim mieczem. Dotąd mam

bliznę, ot tu, z lewej strony, przez czoło i skroń, ale wtedy była rana krwawa i srodze mię bolała. Brat, choć moją tylko krwią zbryzgał, ale słabszy i węższy odemnie, nie mógł się już na nożkach utrzymać i tulił się, płacząc cicho, do mego boku. Wokoło nas pasły się konie tatarskie, i tak przeszła ciepła noc wiosenna, ale nikt usnąć nie mógł z nas jeńców nieszczęsnych, tylko Tatarzy napiwszy się wódki, co ją z beczułkami za sobą przywieźli, chrapali, miotając się i wrzeszcząc jeszcze przez sen \*).

A nam serce zamierało z grozy i obrzydzenia, patrząc na tę dzicz; pamiętam, że ukląkszy z bratem, odmawialiśmy cicho „Pod Twoją Obronę“, tonąc przytęm w łzach gorących. Usta nam paliła gorączka, a nie było komu podać wody kropli i męczyliśmy się tak aż do świtu. Kiedy się od wschodu białawy rąbek na niebie ukazał, już się Tatarzy zrywali z ziemi i konie poili w rzeczulce, co się opodał sączyła; i nas jakiś miłosierniejszy, co zdawał się być ich wodzem, kazał podpedzić ku rzece tak, żeśmy powiązani jedni do drugich, ukląkszy, napić się wody mogli, czerpiąc dłonią albo wprost ustami ze strumienia. A tu słońce wschodziło krwawo w stepie i pohańce jakieś przed niem musieli odprawić modlitwy, bo padali na twarz, mrcząc wyrazy niezrozumiałe, a potem kiwali się w różne strony.

Między nami zaś jeńcami znajdował się jakiś niemłody już szlachcic ze szpakowatą, podgoloną czupryną i siwym wąsem, a tak szpetnie pokaleczony na głowie i rękach, że go poznać trudno było i ledwie się mógł ruszać. On jednak, padłszy na kolana, silnym głosem zaintonował pieśń do N. M. P. „Gwiazdy zarannej“, a za nim wszyscy. Cienkie i słabe głosy dziecinne i niewieście łączyły się z grubym męzkim głosem, tworząc dziwną jakąś muzykę, a łzy rzęsiste spływały po licach, niby ta rosa, co się szklila na murawie, ale z tą pieśnią jakaś dziwna nadzieja wstąpiła nam w serca i zdawało się, że nas Bóg nie opuści, że tu, jak i wszędzie, święte Oko Jego czuwa nad nami.

Tymczasem pohańcy już na koniach pędzili nas, otaczając niby kołem drapieźnych kruków, a bali się widać pogoni, bo raz tylko wypocząwszy około południa, gnali nas dalej i dalej, gdzieś ku

\*) Tatarom, jak i wszystkim Mahometanom, zabrania ich religia używania wina i tym podobnych upajających napojów, ale że prorok nie znał wódki i nie wspominał o niej w swoich przepisach, więc pohańcy pozwalali sobie tego trunku, natrafwszy nań przypadkiem. Podobnie wiadomo o Turkach, że przysięgając na małą książeczkę koranu niby, kazali takie książeczki robić z mydła i uważali, że wtedy przysięgę bezkarnie złamać mogą. Wspomina się o tém w „Pamiętnikach Janczara“ i t. p.

wschodowi słońca. Teraz już padaliśmy jak muchy po drodze i Tatarzy musieli brać wielu na koń do siebie, bo wozów żadnych nie mieli. Brat mój biedactwo z poranionymi nóżkami, bo mu obuwie w drodze spadło, uchwycił się mnie za szyję i puścić nie chciał, kiedy go jakiś Tatarzyn na swego konia wciągał; ale i w poganach serce być musi, bo ten się ulitował i obu nas na konia swego wsadziwszy, sam szedł pieszo.

Już się słońce chyliło ku zachodowi, kiedyśmy zdaleka postrzegli jak gdyby wielką trzodę, czy gromadę i natychmiast kilku Tatarów pędem strzały pomknęło naprzód, a po chwili słyszeć się dał odgłos bębna. Teraz już widać było dobrze wielki obóz tatarski, czyli *Kosz*, do którego tak pośpiesznie dążyliśmy; tu się sam han znajdował, jak się później dowiedziałem. Wtedy jeszcze nie rozumiałem tego wszystkiego, ale potem przez długie lata niewoli u pohańców poznałem wszystkie ich zwyczaje i obyczaje \*). Tak tedy w koszu tatarskim, gdzie na przyjęcie naszego hufca bito w bęben jedną pałką, stał pośrodku namiot hański, wkoło którego zatknięte były cztery chorągwie: jedna czerwona z żółtą kitajką, druga biała z czerwoną, trzecia z białej kitajki, a trzy zielone końce u niej, z wierzchu zaś czarny ogon koński; czwarta, najpiękniejsza, z jabłkiem złotem na wierzchu, czerwona cała i wyhaftowana złotem pismem arabskim. Wozy stały także, ale o dwóch kołach wszystkie, przy nich duże garbate zwierzęta, co je dromaderami zowią, a także i koni moc wielka, więcej nawet, niż ludzi, bo Tatarzy zabierają takowe, żeby z nich mieć pożywienie, dojąc kobyle mleko, a także ładując na nie łupy i jeńców co słabszych.

Teraz nasz hufiec radośnie był przywitany a i inne podobne nadejść musiały, bo zastaliśmy gromady jeńców, jak my [powiązanych, w koszu tatarskim. Tu miało być miejsce na odpoczynek nam wyznaczone; w około bujnych traw podostatkim było, żeby konie miały gdzie się paść. Na tej świeżej jeszcze wiosennej trawce ległem, brata do siebie przytuliwszy, a jakiś Tatarzyn narzucił na nas opończę; spałem twardo, jak kamień i nic nie słyszałem, co się wkoło nas dzieje; tak to z wielkiego znużenia i głodu człowiek częstokroć zapomina o tēm, co go w sercu boli i nawet żal naj-sroższy jakoś w nim zamiera.

— Możeby i teraz spocząć nie zawadziło — ozwał się pan Gozdawa—jutro musicie nam dalej

opowiadać dzieje wasze ciekawe. Przecie wam nie pilno nas rzucać; posiedźcie, wypocznijcie, a ranożniej wam będzie puścić się w dalszą wędrówkę.

— Ciężka to będzie wędrówka—odparł młodzieniec—bom w tych długich latach niewoli zatracił pamięć i miejsca, i ludzi, nazwiska własnego zapomniałem od gorączki, co mnie zgłębiła i teraz obcy wśród swoich tulać się muszę, sierota,

— Nie mówcie tak—rzekła wdowa, rzewnie na młodziana patrząc—u nas każda matka przygarnie jak swoje takie biedne a zacne dziecię ziemi naszej. Żeście poczciwi, to wam z oczu patrzy, a i to dowód, żeście dzieckiem porwani od rodziny i kraju, nie zabyli (nie zapomnieli) ojczyzny tej mowy i nie dali się poturczyć, jak tylu innych nieszczęsnych jeńców, w jasyr zapędzonych. Och! stokroć lepiej zginąć—zawołała łzami się zalewając—niż się wyrzec Boga i kraju własnego! Schylam też pokornie głowę pod wyrok Boży, co mi dziecińcy moje w kwiecie wieku zabrał, żeby je może od większego jeszcze złego uchronić.

Młodzieniec, kornie się schyliwszy, ucałował rękę wdowy, która nad głowę jego po macierzyńsku krzyżyk zakreśliła i wszyscy rozeszli się na spoczynek; tylko gwiazdki migotały nad cichym dworkiem, jak gdyby zajrzeć chciały, co się tam dzieje, mrugając złocistemi oczkami,

#### IV. JAK WYRUSZA WOJSKO Tatarskie. — TRWOGA I NADZIEJA.—KRWAWA MOGIŁA.

Nazajutrz, gdy się znów całe grono w dworku Gozdawów zgromadziło, ciągnął dalej swe opowiadanie młodzieniec.

— Chmurno jakoś zaświtał drugi poranek niewoli naszej, ale przededniem jeszcze obudził nas wielki rozruch w koszu tatarskim; musiały na dejsć jakieś wieści nowe, dzicz bowiem uwijała się jak mrowie a stary szlachcic, co się mną i bratem zaopiekował, wytłomaczył nam, co się święci. Widocznie nas brańców wraz z wielką gromadą wołów, koni i innego bydła, naspędzanego ze wszech stron, miano prowadzić dalej, ale han z częścią wojska wyruszał znów na północ ku Polsce. Robiono przygotowania do pochodu, a rankiem han z wojskiem, swoim wyciągnął.

Dziwne bo to jest wojsko! Najprzód niosą owe chorągwie, o których już wspominałem; dalej przed hanem wiodą kilkanaście pięknych koni. Za hanem wielki hufiec ludu, a każdy Tatarzyn wiedzie po pięć lub sześć koni, za ogony powiązanych. Potem szły działa polowe, z dziesięć może, potem strzelcy z rusznicami i wozy, przez owe dromadery ciągnięte, a wszystkie o dwóch kołach. Czterech było synów hańskich, a każdy ma swój buńczuk

\*) Szczegóły tu przytaczane są po większej części wzięte z dzieła Juliana Bartoszewicza, znakomitego naszego historyka, o Turkach i Tatarach, także z Szajnochy „Mściciela“, z Bielskiego, co żył w XVI wieku i innych dobrych książek historycznych.

czyli chorągiew z kobyliym ogonem, u każdego odmiennę sierści. Za nimi dopięro tłum Tatarstwa, a strasznie to wyglądało; odarte, bose, w lichych siermięgach, bez pancerzy, a niejeden, zamiast żelaznej broni, z kością kobyłą uwiązaną u kija.

Kiedy zatrąbiono jak na psy, uderzywszy wprzód w bęben, zawsze jedną pałąką, cała ta hałastra wrzasnęła straszliwie i rzuciła się, jak chmara dzikiego ptactwa, po zielonym stepie. Brat wylekły tulił się do mnie, a ja, ogłuszony tym wrzaskiem, stałem z oczyma wlepionemi w tę czarną nawałę i patrzałem, jak gdyby mi dusza się za nimi rwała tam daleko, do ojczyzny mojej. I teraz zda mi się, że widzę przed sobą tę dziką hurmę i słyszę wrzask ich, i te trąby, co uszy rozdzierały... aż powoli, powoli, wszystko zmalowało gdzieś w oddali i tylko zdaleka załatywały czasem krzyki niesforne, a w końcu wszystko znikło...

My zostaliśmy z hufcem tatarskim, co nas otaczał wielkiem kołem, ale w drogę się jeszcze nie wybierał. Tatarzy rozrzućili między nas kawały mięsa końskiego, które z pod siodeł wyjmowali, ale mimo głodu, co nas dręczył, niepodobna było do ust wziąć tego cuchnącego i wstrętnego, końskim i ludzkim potem przesiąkniętego jada; bojąc się więc, żebyśmy im nie poginęli, pozwolili doić mleko z krów i owiec, spędzonych z wiosek naszych. Biedne stworzenia także czuły niewolę, bo dziwnie jakoś ryczały i usiłowały rozbież się w różne strony, ale je pohańcy spędzali do kupy, bijąc powrozami i łukami swojemi. Jedna krówka padła była w nocy jeszcze, na tę rzucili się pohańcy i rozrywając na sztuki, pożerali to mięso nawpół surowe, przypiekłszy je trochę tylko nad ogniem, rozpalonym z resztek jakichś połamanych sprzętów i skrzyń, które zrabowali; na stepie bowiem trudno o drzewo i nawet lud tam podobno na paliwo używa nawozu suszonego, co go *kirpiczem* zowie. Takie nas obrzydzenie zdjęło na ten widok, że niejeden nie mógł przełknąć i tego mleka upragnionego, co mu za jedyny posiłek starczyć miało.

Nie długo jakoś po wyruszeniu hana, dziwny hałas obił się o uszy nasze; szlachcic przypadł do ziemi, słuchał, a podnosząc się rzekł drżącym głosem:

— Bracia, módlmy się, to bitwa, nasi gdzieś musieli dognać Tatarów, już słychać strzelanie, Bóg wiedzieć raczy, co z nami będzie!

Wszyscy, jak jeden człowiek, przypadliśmy do ziemi, nasłuchując. Jakże drżała od dalekiego huk i tentętu. Ale pohańce zmiarkowali odrazu, co się dzieje i kiedyśmy poklekali, głośno śpiewając, „Bogarodzico Dziewico” zaczęli nas bić i spędzać w gromadę, żebyśmy nie zrobili jakich cza-

rów. Co się wtedy w duszy działo, wypowiedzieć niepodobna! Mówił nasz szlachcic, że to nieraz bywało hufiec pana hetmana, albo którego z dzielnych panów naszych \*), dogna pohańców i rozgniwszy ich, uwolni cały poczet brańców. Pewnie i Tatarzy o tém pamiętali, bo ich widoczny ogarnął niepokój: jedni pędzili na zwiady, inni coraz ciałniejszemu nas kołem otaczali, groźnie wywijając mieczami krzywemi i powrozy narządzając. Tymczasem mgła gęściutkim deszczykiem na ziemię opadła, niebo się przejaśniło, a słońce, jakby świeżą rosą splukane, wyjrzało z za chmur i wysoko strzeliło na nas swemi promieniami.

Już było blisko południa a huk nie ustawał, przeciwnie nawet zdawał się zbliżać ku nam; mnie serce biło jak młotem, zdawało się, że pierś rozsadzi; aż tu widzimy kilku pohańców, co się byli oddalili w stronę bitwy, pędzą co koń wyskoczy. Prowadzą ich przeto do Kałgi (najwyższego po hanie rządcy tatarskiego) i widać, że ważne musieli przynieść wiadomości, bo natychmiast wielki ruch powstał w koszu.

Strach mówić... dziś mi jeszcze serce zamiera, gdy sobie o tém wspomnę... Tatarzy, wpadłszy między wielki tłum brańców, spędzonych jak owieczki na kupę ogromną, zaczęli wybierać starszych i słabszych, odprowadzając ich na bok w oddzielną gromadkę. Widziałem, jak pędzili przed sobą kilka kobiet z dziećmi u piersi i rannych, co się ledwie na nogach trzymali; wreszcie jeden z pohańców zarzucił pęta na szyję naszego szlachcica i włókł go za sobą; my obaj z bratem uczepiliśmy się jego szaty, ja za powrót złapałem i tak trzymałem mocno, że Tatarzyn, klnąc dziko, zamierzył się na mnie i w zamachu przeciął własny postronek; tymczasem nasz stary opiekun mówił:

— Dajcie pokój, dziatki, Bóg was nie opuści, a mnie staremu lżej będzie zginąć, niż iść w jasyr.

\*) Wieczna cześć się należy tym, co krew swą tam przelewali, co ciałami swemi sypali wał przeciw wrogom. Buczaccy zaczynają ten szereg bohaterów, dalej Odrowążowie, Wiśniowieccy i t. d. Jan Kamieniecki, kasztelan lwowski, dognawszy zagon tatarski pod *Komorowem* 1506 roku odbił łup wszystkim, ubiwszy 2000 pohańców; potem dwa książęta Ostrogscy Konstantowie, ojciec i syn, codziennie nieledwie wiedli boje z Tatarami; zasłynął Ostafi Daszkiewicz i inni. Za Zyg. Starego Stanisław Lanckoroński, Mikołaj Firlej, Bernard Pretwic, uwieczniony w pieśni ludowej, starosta barski i trębowelski („za pana Pretwica, bezpieczna od Tatar granica“). Niewiasty nawet w bojach tych zasłygnęły, jak Anastazyja, księżna Słucka, Katarzyna, księżniczka Ostrogska, co z wielu pannami straszne wytrzymała oblężenie w zamku Dubieńskim i Beata Dolska, co w wigilię wesela swego ómy Tatarów od Dubna odparła. Słynne było zwycięstwo nasze pod *Wiśniowcem* 1512 roku; straszna klęska pod *Sokalem* 1519 r.

Tylko pamiętajcie, dzieci! Bóg i ojczyzna nade-wszystko! nie dajcie się zburmanić! niech was Ojciec Niebieski strzeże na wieki wieków Amen!... — i rękę skrwawioną nad naszymi głowami wyciągnął.

(D. c. n.).

## GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

### BROMOWICE.

O skwarnym dniu letnim, drożyną leśną szedł sporym, acz nie spiesznym krokiem pielgrzym niskiego wzrostu, krępy, z czarną, lekko już siwiwą przypruszoną brodą. Siła i wytrwałość widoczną była w całej jego postaci, i chód jego znamionował stanowczość i ten spokój w postępowaniu, który to bez pośpiechu najdalej i najpewniej ludzi prowadzi. W dużej żyłastej ręce trzymał kij pielgrzymi, którym z taką mocą w ziemię uderzał, a kij ten sam taki był gruby, sękaty, i krzemieniem nabijany, że patrząc nań, nie jeden leśny rozbójnik schodził z drogi temu pielgrzymowi, nie wielką mając zresztą na pielgrzymią kabzę ochotę.

Droga przez las bardzo była przyjemna, bo gęste, zielone rozłożystych dębów sklepienia przejmowały zbyt gorące słońca promienie, a miły, wonny leśny chłód czynił tę przechadzkę bardzo uroczą. Pielgrzym jednakże nie zdawał się wcale rozkoszować pięknosciami przyrody; szedł on i patrzył prosto przed siebie tak, jakby widział cel swój stale wytknięty i dążył prosto do niego. A jeżeli sądzić było można z niepośpiesznego a wytrwałego chodu jego, że daleko iść zamierzał, to znowu po jego szatach znać było, że daleką przebył on dotąd już drogę. Wyglądał smutny i znużony, ale nie zmordowany i nie zniechęcony wcale. O samém południu zatrzymał się, siadł na brzegu jednego z licznych leśnych strumyków, wyjął z sakwy pielgrzymiej kawałek chleba i sera, kubkiem drewnianym zaczerpnął wody i tak się posiłkował. Zjadłszy, położył się tam, gdzie siedział i natychmiast zasnął głęboko.

Musiał być strudzony bardziej niż się zdawał; może szedł całą noc, a skwarne godziny przesypiał; tak się zdawało, bo spał kilka godzin. A jednakże sen to był czujny, gdyż raz i drugi ów pielgrzym roztworzył nagle oczy i kij mocniej ścisnął w dłoń, z której go ani przez sen nawet nie wypuszczał, przyczyną tego był szelest dość nieznaczny. Nie przestraszył przecież wcale ten szelest śpiącego, który, nie ujrawszy nic w pobliżu, zasnął też znowu spokojnie. Wypawszy się, wstał i poszedł

w dalszą drogę. Gdyby był trwożliwszy, gdyby był uważniej patrzył wówczas, gdy szelest go zbudził, byłby dostrzegł trzech ludzi, którzy nie razem, ale to jeden, to drugi, zbliżali się do niego ostrożnie i z daleka przypatrywali mu się badawczo. Potem każdy z tych ludzi biegł co tchu na drożynę dalszą i w różne leśne kryjówki, gdzie na koniach stali gońcy gotowi do drogi; każdy nadbiegający człowiek szepnął czekającemu gońcowi te słowa:

— Jest pielgrzym! to chyba on! śpi teraz! — a ostatni z tych nadbiegających ludzi powiedział gońcowi:

— Zbudził się! i idzie teraz małą drożynką!

Takie usłyszawszy wyrazy, każdy z owych gońców popędził co koń wyskoczy, z różnych tych miejsc, na których czatowali, aż przebywszy pędem las, zjechali się wszyscy u stóp niewielkiego wzgórza, gdzie wznosiły się mury ogromnego zamku. Gońcy wpadli w bramy z okrzykiem:

— Jest! jest! idzie małą dróżką!

I natychmiast wyjechał z tejże bramy wspaniały orszak rycerski, na którego czele przecież jechał na przepysznym rumaku nie żaden rycerz, tylko znowu ubogi w łatanych szatach pielgrzym. Ale dumna i wysoka tego pielgrzyma postawa i uszanowanie okazywane mu przez cały orszak zdradzały jawnie, że szaty owe ubogie wcale nie pokornego ani ubogiego pielgrzyma ukrywać musiały. Pielgrzym ten ze swym orszakiem udał się pędem w stronę, z której ów pierwszy krępy przybywał. Dopadłszy lasu wszyscy stanęli, a wysoki wódz, zsiadłszy z konia, sam jeden zapuścił się w las, mówiąc do siebie:

— Przedewszystkiem przekonać się trzeba, czy to on?!...

Wkrótce krępy pielgrzym ujrzał wysokiego pielgrzyma, który posuwistemi kroki doganiał go w pochodzie i zagadnął chrześcijańskim pozdrowieniem. Krępy odpowiedział wedle zwyczaju. Spojrzeli sobie w oczy i krępy, coś się zmarszczywszy, nagle skreślił w boczną drożynę, mówiąc:

— Bóg z wami! szczęśliwej podróży, moja droga tędy! — i przyspieszył kroku. A wtém wysoki, równie gwałtownie w bok skreśliwszy, rzecze:

— Tak? a to właśnie i ja tędy iść muszę.

Szli razem przez chwilę, a przez ten czas wysoki z góry a z ukosa, nieznacznie lecz bystro przyglądał się małemu. To zdawało się gniewać tego ostatniego, milczał jednakże, bystro rzucając w około oczyma, a wtém wysoki uprzejmym głosem w niemieckiej mowie tak jak i wprzód zapytał:

— Zmęczeni jesteście, pewno z daleka idziecie, bracie?

— Z daleka... — mruknął tamten w odpowiedzi.

— I daleka jeszcze droga przed wami? — pytał znów wysoki, bardzo przyjacielskim tonem, ale mały odpowiedział gwałtownie:

— Taka sama daleka, jak i wasza! idziemy od samego narodzenia naszego, a po mojej siwiejącej brodzie widzicie, że jestem już w połowie drogi tej, której kresem: śmierć!

— Tak!... tak to jest! — z westchnieniem rzekł wysoki, kiwając głową z takim wyrazem, jakby się do długiej zabierał gawędy; to do reszty zniecierpliwio małego, więc nagle stając, rzecze:

— Czcigodny pielgrzymie, widzisz, iż ślub uczyniłem odbyć pielgrzymkę moję samotnie, odmawiając pacierze, przeto wielką mi uczynisz przysługę, jeżeli pójdziesz sam w swoją drogę, a mnie też z pacierzami w moję isć pozwolisz! — to powiedzawszy mały odwrócił się, by odejść, bacznie jednak przy tym ruchu na ruchy przeciwnika zważając, jakby lękał się od niego napaści; a wtem tenże po swojemu dał znowu dwa długie kroki, uparcie jeszcze raz zastępując mu drogę; mały gwałtownie w tył odskoczył, kij podnosząc i na jedną chwilę oba spojrzeli sobie w oczy przenikliwie, nagle krzyknął mały rażno:

— Ej, mości rycerzu! coś widzę masz okrutną ochotę podróżować ze mną; dajże mi *to*, czego się nie spodziewasz w tej chwili posiadać w domu twoim, a pójdziemy razem!

— Daję ci *to*, bierz, panie! — zawołał wysoki z zapałem, ręce składając.

A gdy on to mówił, tymczasem mignęło mu coś przed oczyma, i osłepiło go na chwilę; mały pielgrzym, rzuciwszy mu zręcznie w oczy garść piasku, a sam wsparłszy się na swym kiju potężnym, przesadził za jego pomocą ogromną przestrzeń odrazu i padł umyślnie jak długi po za krzaki w kotłinę, wprzód już bystrém okiem upatrzoną, przylegając do ziemi tak prawie, jak dziki zwierz od łowców goniony pada bez tchu, kryjąc się w zarośla. Tak przesadzać całe rowy i krzaki mógł tylko człowiek wielkiej siły i zręczności, a koniecznością do takich sztuk zmuszony i wprawny. To też duży i niezgrabny rycerz ów niemiecki, w pielgrzymie szaty przebrany, ostępiał prawie, nie tylko osłepł na razie; stał on, przecierając oczy i pojąć nie mogąc, gdzie się podział mały pielgrzym... A wtem silny tentent konia zabrzmiał po za nim i młody rycerski giermek przypadł do niego, wołając z daleka radośnie:

— Panie! panie! pani nasza rozkazała mi zanieść wam radosną nad radosnemi nowinę: syn wasz jedyny cały i zdrów powrócił i jest w zamku!

Ale na tę radosną nowinę rycerz, zamiast się

ucieszyć, krzyknął przeraźliwie i skoczywszy na konia giermkowego popędził drogą ku zamkowi swemu, co koń wyskoczy, trąbiąc w trąbkę u pasa zawieszoną, jęcząc, krzycząc i modląc się głośno do Boga miłosiernego, a przytém wymachując długim niemieckim mieczem gwałtownie. Tak pędził, jak szalony, a cały jego orszak rycerski, zbiegłszy się na głos trąbki i giermek świeżo przybyły, pędzili za nim wystraszeni i przekonani, że ich pan oszalał poprostu. Lecz po chwili ogarnęło ich przerażenie jeszcze większe, gdy dopadłszy zamku swego ich Freiher (wolny pan)\* rzucił się w ramiona syna jedynaka, opowiadając mu z jękiem rozpacz, że on sam, jego kochający, ztęskniony za nim ojciec, oddał przed chwilą duszę jego szatanowi!...

Syn, przybywający niespodzianie z krwawej i dalekiej wojny, nie zrozumiał nic, i nikt nic nie rozumiał. Nastąpiły tedy tłumaczenia. Pokazało się, że dobry i pobożny Freiher, zasłyszawszy iż król polski Władysław, dzielny rycerz, zmuszony uchodzić od przemocy, przechodzi w pielgrzymich szatach przez jego kraje, udając się do Rzymu, postanowił zająć mu drogę i uczcić dzielność, nie-szczęście, i chrześcijańską pokorę króla-pielgrzyma. Pragnął zaś uczynić to témbardziej, że przez to chciał okazać lekceważenie swoje książętom szląckim, którzy właśnie z królem Władysławem walczyli i jego, Freihera, dumnego udzielnego pana, wezwali do pomagania sobie, a mianowicie do ścigania, ujęcia i dostawienia im króla Władysława, tak właśnie, jakby oni mieli naprawdę prawo rozkazywania Freiherowi! Z takimi to zamiarami wyjechał Freiher tegoż dnia rano z orszakiem z zamku swego i dopatrzwszy w lesie człowieka, odpowiadającego rysopisowi króla polskiego, sam zaszedł mu drogę i usiłował zręcznie i ostrożnie się przekonać, kto to był w istocie ten pielgrzym spotkany, zanimby go uczcił, jako króla. Ale szatan, zawsze czyhający na duszę ludzką, wdał się w tę sprawę.

Tu Freiher opowiedział dokładnie, co zaszło w lesie między nim a małym pielgrzymem, który ani chybi musiał być szatanem, gdyż najprzód zupełnie takie zadawał pytania i takie żądania wyrażał, jak szatan z stariej niemieckiej powieści, a następnie znikł po szatańsku, otrzymawszy *to* czego żądał, to jest *to*, czego Freiher nie spodziewał się posiadać w owej chwili w domu swoim, a czém był w istocie jego ukochany syn! Freiher nie poznał szatana, nie pojął mowy jego, i nie przypomniał sobie na razie owej powieści, w której szatan zupełnie tak samo przemawia; aż wtedy

\*) Udzielny pan niemiecki, tak zwany w owych czasach.

dopiero, gdy ujrzał giermka, donoszącego mu o syna przybyciu, wtedy otworzyły się oczy nieszczęśliwego ojca!

Gdy to wszystko usłyszano, nikt już nie posądził biednego pana o szaleństwo, ale dwór cały wraz z małżonką Freihera, matką młodzieńca, rozpaczając zaczął tak samo, jak Freiherr ojciec. Wszyscy znali doskonale starą powieść, w której szatan temi samemi wyrazami przemawia, jak krępy pielgrzym i gdzie tak samo o duszę syna jedynaka rzecz idzie. Podobieństwo to uderzyło wszystkich, a że to były czasy pełne najrozmaitszych zabobonów i wiara w ukazywanie się szatana i mieszanie się jego do spraw codziennych ludzkich była powszechną i pospolitą, przeto rzecz wista i naturalna rozpacz ogarnęła nieszczęśliwych rodziców i cały dwór na wielkim zamku, na skale, pod lasem, w którym pielgrzym spał niedawno.

Jednakże, jak w każdym wieku i w każdym ważniejszych okolicznościach, tak i wtedy w zamku niemieckiego pana znalazł się człowiek wyższy umysłem i duchem nad wiek swój. A był nim nie kto inny, jak tylko sam młody Freiherr, na którego to właśnie szatan swą pułapkę zastawił zdumieniem ogólnem. Młody Freiherr nie był wcale przecież żadnym mędrce, a nawet był on w gruncie rzeczy niemniej zabobonny, jak wszyscy pod owe czasy wyżej i niżej od niego na społecznych szczeblach stojący, ale miał przytęm zdrowy rozsądek i był niepospolicie uczciwym, a te dwie ważne zalety złączone uczyniły go wyższym nad jego otoczenie, gdyż dały mu pewność samego siebie, co jest rzeczą ważną, jest nawet potęgą ogromną. Tę potęgą tedy obdarzony, młody Freiherr tak rzekł do rozpaczających rodziców i dworu wiernego:

— Wracam z wojny, w której walczyłem i krew przelewałem za to, aby słabsi odemnie, dzieci, niewiasty, starcy i chorzy, mieli spokój i znośne życie w domach swoich; przeto czyniłem powinność moję rycerską, i wprzódy także przez całe życie starałem się czynić powinność, ale mimo to grzeszyłem zapewne nieraz, zwyczajnie jako człowiek słaby i nierozumny, i przeto, gdyby mię największe przykrości i bóle spotkały, tobym je wziął za słuszną karę; ale nigdy nie uwierzę, abym miał być poddanym szatanowi, bom na to nie zasłużył!

Tak powiedział młody pan, i zaraz to jego przekonanie udzieliło się wszystkim, i otucha wstąpiła w rozpaczające serca. On tymczasem kazał sobie podać konia i wypytał się jeszcze ojca o wszystko, jak było z owym pielgrzymem, popędził nie tracąc czasu na jego spotkanie.

— Bo — mówił z uśmiechem do płaczącej matki — wszak w stariej ludowej powieści, która was przestrasza, sam ów chłopiec, pożądaný od szatana, idzie się z nim rozprawić, więc niechże i ja tak uczynię.

Tymczasem w lesie pielgrzym, leżąc w kotlinie w zaroślach, i widząc straszny zamęt i rozpacz Freihera i jego rycerstwa, i słysząc doskonale przyniesioną mu przez giermka wiadomość o syna przybyciu, zrozumiał wszystko odrazu, co się działo w duszy biednego wystraszonego ojca Freihera, a rozumiał tém łatwiej, że on istotnie i umyślnie użył słów szatana z bajki stariej, znaniej równie w Słowiańszczyźnie, jak i w Niemczech, aby niemi zając uwagę napastującego pielgrzyma i przeto zyskać sposobność do ucieczki, rzuciwszy mu w oczy garść piasku, dla chwilowego osłepienia. Mały pielgrzym ścigany i podejrzewający w wysokim pielgrzymie wroga, czynił co mógł, aby się pozbyć jego towarzystwa, gdyż wprawném okiem odrazu poznał, że ma z przebranyim rycerzem niemieckim do czynienia. Widząc następnie po trwodze Freihera, że udało mu się istotnie udać szatana, mały pielgrzym, spokojny nawet wśród największych niebezpieczeństw, bo duchem wyższy nad nie, zaczął się tak serdecznie śmiać, leżąc wygodnie w kotlinie, jak zając na miękkim mchu, że się aż tarzał, za boki od śmiechu trzymając.

Gdy on się tak śmieje swobodnie a serdecznie, po słowiańsku prawdziwie, wtém nagle, prawie bez szelestu, staje tuż nad nim młody Niemczyk w kuszej sukni i małym kapeluszu z czarnem piórem, tak właśnie, jak w stariej powieści szatan jest ubrany i grzecznie kłaniając się kapeluszem mówi:

— Udawałeś mię przed chwilą mój pielgrzymie! wystraszyłeś nawet uczciwych ludzi, czy nie chciałbyś przeto mi się przypatrzeć, abyś na drugi raz lepiej interesa moje sprawował? bo powiadam ci, żeś mię źle udawał! Poto przychodzę!

Na takie powiedzenie ukazującego się tak niespodzianie Niemczyka, mały pielgrzym zdumiał się w pierwszej chwili, i to tak bardzo, że śmiech poprzedni urwawszy, pozostał nieruchomy z otwartemi ustami, w młodego Niemca wpatrzony. Tak oni obaj przez chwilę sporą przypatrywali się sobie, aż nagle oba razem śmiechem znów swobodnym wybuchli, poznawszy się po oczach, które są duszy zwierciadłem, że oba byli poczciwi. Pielgrzym wstał i rzekł:

— A to pocóż obcy ludzie włązili mi w drogę?

— Poto, poco i Tatar podobno w swoim kraju zachodzi drogę podróżnemu i drzwi swojej chaty mu otwiera: aby go ugościć.

Mały pielgrzym popatrzał bystro w oczy mło-

demu towarzyszowi, idąc już w dalszą drogę, potrząsł głową i rzekł:

— W dzikim kraju tak może być, ale tam gdzie ludzie różne mądrze popłatane sprawy mają, tam to być nie powinno, bo czasem możnaby wpaść do chaty swego nieprzyjaciela.

— Albo też wejść do chaty nieprzyjacielskiej, w którejby nas związane i odstawiono jakim krewniakom naszym na Szląsku! — dodał prędko młody Niemiec.

— Pielgrzym stanął, namarszczył groźnie zjezoną brew i zapytał poważnie:

— Kto jesteście i czego chcecie odemnie?

Młody Niemiec, pewien teraz z kim mówi, zdjął kapelusz z głowy z uszanowaniem i rzekł:

— Ja jestem Ostazy, syn Freihera tej ziemi; mój ojciec, który wam panie drogę zachodził, chciał wam jedynie uczciwość należną wyrządzić, a błagać was, byście odpoczęli pod dachem naszym. Ale ja teraz z inną jeszcze prośbą do was, panie, przychodzę, a to z tą, abyście łaskawie raczyli ukazać się matce mej i dworowi naszemu a przeto uspokoić ich, iż ojciec mój niesłusznie się przeląkł waszego żartu tak, jak się nigdy w swém życiu żadnego człowieka nie przeląkł.

Pielgrzym wzruszył ramionami.

— Tak czy siak, kijem czy pałką — rzekł — zawsze chcecie mię kędyś z drogi mojej sprowadzić; w czém to mię tylko dziwi, że raz mię już poznawszy, nie kończycie zaraz sprawy tej ze mną tu w tym lesie!

Tak mówił pielgrzym chmurno, bo przekonany był, że go nieprzyjaciele odkryli i widział przez rzędniejące już drzewa towarzyszy, a raczój orszak młodego Niemca. A wtém rzecze tamten:

— Mój ojciec nigdyby tego nie uczynił, bo jest rycerzem uczciwym i oświeconym, a znamy też i prawa wasze, i nieszczęścia wasze, panie. Ale oprócz tego, trzebaż jeszcze, żeby te pyszne Piasty ze Szląska przystali ojcemu memu poprostu rozkaz ujęcia was i dostawienia do nich, jeżelibyście, panie, przez naszą przechodzili ziemię, a to taki rozkaz, jakby do swoich poddanych! Ta zniewaga rozgniewała okrutnie ojca mego, który i tak oddawna z tamtymi Piastami się wadzi i przeto postanowił témbardziej koniecznie drogę wam zająć, a cześć wyrządzić, aby tamtym pokazać, że jest Freiherem, który od nich żadnych nie odbiera rozkazów.

Tak mówił młody Freiher, a lice pielgrzyma, to jest króla Władysława Łokietka, rozjaśniło się przy słuchaniu tej mowy.

— A, jeżeli tak — odrzekł ochoczo — to co innego, to zgoda! — znał on za dobrze okolicznych dworów większych i mniejszych stosunki i zatargi,

aby odrazu nie poznał, że temu, co mu Niemiec mówił, można było uwierzyć. Tedy młody Niemiec przyłożył do ust trąbkę, dźwięk się rozległ, i w mgnieniu oka liczny zastęp świetnego rycerstwa otoczył króla Władysława. Na czele tego zastępu znajdował się ów duży pielgrzym poprzedni, to jest sam Freiher. Ze czcią i radością wiedziono do zamku gościa. Na przyjęcie jego wyszła aż do bram sama uszczęśliwiona teraz małżonka Freihera, otoczona mnóstwem dziewic w bieli, sypiących kwiaty po drodze przed królem.

Gdy się zmierzchno, cały okrąg zamku i okolica zapłonęły stosami ognisk i smolnemi płonącemi beczkami, aby świat jak najdalszy wiedział, że pan tego zamku ugaszczą w nim króla Polskiego. Ucztowano, tańcowano, słuchano poetów i śpiewaków przez kilka dni w zamku tym rycerskim. Król-patnik ujęty był prawdziwie serdecznością dobrych Freiherów, a młodego syna ich Ostazego serdecznie pokochał. Gdy tedy już przyszło się królowi w dalszą drogę wybierać, rzekł on, żegnając się ze starym Freiherem:

— Dziękuję wam sercem za serce wasze, a wy wiecie, że się teraz inaczej przyjaciółom moim wywdzięczać niemogę; nawet miast o wywdzięczeniu się myśleć, oto przypomnę wam, że wy owszem jeszcze obowiązek względem mnie macie.

— Jaki, panie? niech wiem, a uczynię! — rzecze Freiher.

— Taki, żeście to mi przecież syna waszego dali, a brać pozwolili — z uśmiechem powie król — i otóż proszę was słowa dotrzymać, a przysłać mi Ostazego do Polski, do Krakowa, na Wawel, skoro tylko ja tam zamieszkać!

Z temi słowy pożegnał król gościnnych ludzi i w drogę swą poszedł. A potem, wróciwszy z pielgrzymki, gdy Polskę zdobył i na Wawelu zamieszkał, tegoż roku ujrział stojącego przed sobą młodego i miłego mu Ostazego. Młody Freiher został na zawsze serdecznym króla Łokietka towarzyszem, sługą, i przyjacielem. Wkrótce król go mianował stolnikiem krakowskim, co w niemieckim języku zwano *Fürleger*.

Otóż Polacy, widząc tego nieodstępного towarzysza u boku króla swego, zwali go, nie po nazwisku, tylko po jego godności, jak to u Polaków zwyczaj, a że mu względów królewskich zazdrościli, tedy go mianowali zawsze z przekąsem z niemiecka: ten Freiher! ten Fürleger! a lud przekreślił ten wyraz i z *Fürlegera* zrobił *Firleja*. I otóż ów młody Ostazy czyli Anastazy protoplastą został znacznego w dziejach polskich rodu Firlejów. Król nadał mu ogromne włości i knieję nad Wisłą, gdzie on w przesłicznej miejscowości wystawił niewielki ale wspaniały i piękny pałacyk w ogro-



mněj puszczy, i w tym pałacyku przyjmował przyjaciela swego, króla Władysława Łokietka, polując wraz z nim w przepęlnionych zwierzem swych kniejach. Pałacyk ten myśliwski wznosił się jeszcze przed kilkunastu laty we wsi Bronowicach

## KATAKUMBY.

W okolicach Rzymu znajdują się rozległe podziemia, które zapewne początkowo utworzyły się z kamieniołomów. Podziemia te, zwane kata-



Katakumby Ś-tėj Cocylii

nad Wisłą, wprost naprzeciw Puław, a starzy ludzie nazywali go wieżą Firlejowską i powyższe o jego początkach i o jego założycielu rozprowadali podanie.

M...a.

kumbami, były przez czas długi schronieniem pierwotnych chrześcijan w czasie prześladowań. Tam odprawiano nabożeństwa, i grzebano umarłych. Odszukano też w katakumbach liczne grobowce męczenników z pierwszych wieków chrześcijańskich, ozdobione napisami i rzeźbami.

Mnóstwo tam jest wszędzie przejść wązkich, rozgałęzionych nakształt labiryntu; w niektórych miejscach przejścia te ciągną się jedne nad drugimi, tworząc kilka piętr. Mieszkańcy katakumb, prześladowani chrześcijanie, wykuwali nowe korytarze w skale i znacznie te podziemia rozszerzyli. Obszerniejsze przestrzenie pomiędzy krzyżującymi się przejściami służyły za kaplice i miejsca zebrań. Podawano im różne nazwy, po większej części od imion męczenników tam pochowanych.

Znaczna część tych podziemi zwana jest katakumbami Kaliksta od imienia papieża, który je rozszerzył. Tam znajduje się kaplica, w której złożone są ciała dawnych papieży, ztąd kaplicą papieską zwana, a tuż obok kaplica Ś-tėj Cecylii, na rysunku naszym przedstawiona. Co rok d. 22 Listopada, w dzień uroczystości tėj świętėj męczennicy, odbywa się tam solenne nabożeństwo, a lud tłumnie nawiedza katakumby, składa wieńce i zapala liczne lampy, świece, kagańce, które wspólnie oświetlają podziemie. Zwłoki Ś-tėj Cecylii przeniesione zostały do kościoła zbudowanego pod jėj wezwaniem w Transtewerze, ale uroczystość jėj imienia zawsze święconą bywa w katakumbach.

## RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

Tak się z rozkazu ojca wywiązawszy, Lelewel bacznie po słuchaczach spoglądał, ręce na pierśi założywszy. Dzieci głowy pospuszczały w zamysleniu; i ojciec milczał, widząc, że bez objaśnień sens bajki zrozumiano.

— Więc szczęścia niema na świecie? — spytano po chwili.

— Jeżeli przez szczęście rozumiecie uwolnienie się od wszelkiej biedy, to niema; z biedą musimy pozostać na szerokiém morzu życia, bo ona jest naprawdę żaglem, z którym prędkiej płynie.

— Ale, ojczu, jakże płynąć, żeby było choć trochę znośniej?

— Z balastem, moje dzieci, i z cierpliwością i z dobrym humorem, tak, jak ja. Dla was, jak wam już powiedziałem, balastem jest nauka. Patrzcie, czém jest nauka. Oto przesilenie nasze przeszło, nie winni jesteśmy nic nikomu i będzie nam teraz lepiej, a to dla tego, że ja kiedyś pracowicie, choć wcale nie wysoko, wyuczyłem się mojej sztuki; umiem malować na ścianach, nietylko na płótnie i zajmuję się tém, co mam pod ręką.

Teraz mam doskonały obstalunek, a na przyszły rok już mię zamówiono na wieś do wymalowania kilku pokojów w pałacu.

— I cóż my mamy robić? czyliż mamy porzucić nasze płatne tараżniejsze zajęcia? — z żalem mówiły dzieci.

— Nie chciałem, żebyście je przyjmowali, a teraz nie wymagam, abyście je porzucali, bo widzę, że zrobiłbym wam tэм za wielką przykrość, o którą możebyście żal do mnie mieli; ale pragnąłbym koniecznie, żebyście przy nich i sami się kształcili. Jeżeli szczerze zechcecie, to znajdziecie sobie jeszcze parę godzin dziennie na naukę, a będą to właśnie te godziny, które Oleś trawi na gawędzie z kolegami, ulicznikami, Kasia na muskaniu włosów i spoglądaniu przez okna, gdy w sklepie zatrudnienia niema, a Aneczka na przezywaniu sukienek swoich na wzór tych, jakie starsze kobiety noszą.

Gdy ojciec to powiedział, Aneczka zawstydzila się tak okropnie, że aż głowę na matki kolanach ukryła, a Kasia, zaczerwieniona po same uszy, rzekła, przyglądając włosy rękami kocim sposobem, to jest zwilżając je:

— To chyba mama powiedziała ojcu! gdzieżby się tam ojciec sam poznał na takiej drobnostce.

— Moje dziecko, nic na świecie drobnostką nie jest, i wszystko nią jest, jeżeli chcemy; bo to zależy od tego, jak się na rzeczy patrzymy, zdaleka, czy z bliska. My codzień z ojcem o wszelkich drobnostkach was dotyczących mówimy — powiedziała matka, a wtém Aneczka podniosła głowę, mówiąc jeszcze cała spłoniona:

— Cz, mama pamięta tę książkę, którąśmy dwa tygodnie temu w niedzielę czytali?

— Trochę; albo co?

— Bo przyszło mi na myśl, że w tėj książce jest dwoje dzieci, brat i siostra, kochających się tak bardzo, że kiedy chłopiec zaczyna chodzić do szkół, to dziewczynka dla wspólnej uciechy uczy się z nim na wspólnki: co dzień chłopiec, wróciwszy do domu, powiada, co w szkole zadawano, wyuczają się i piszą oboje, nazajutrz rano przesłuchują się wzajem i dopiéro chłopiec idzie do szkoły, i tak codzień. Kiedy ten chłopiec skończył szkoły, jego siostra mogła tak dobrze złożyć egzamin, jak i on. Czy mybyśmy nie mogli uczyć się tak samo przy Kaziu? wszak on ma chodzić do szkół?

Na te słowa Aneczki wszystkie oczy zwróciły się na Lelewela.

— Gdyby to można zrobić, toby nie było źle — powiedziała matka.

— I cóż, Heglu-Lelewelu! nie taję, że mi się ten projekt podoba; czy zechcesz przyjąć na siebie

zaszczyt i ciężar wykształcenia całego twego rodu? — rzekł ojciec.

— A kiedyż ja co na domek zarobię, jak do szkół chodzić będę! — krzyknął Lelewel i z rozpaczą, czując, że stoi na rozdrożu losu swojego, rozplakał się, chwytając rękami za głowę. Ojciec patrzył na niego przez chwilę, a potem, zwracając się do innych dzieci, zapytał:

— Czy rozumiecie teraz, dla czego prosty obowiązek będzie zawsze stał wyżej od najpiękniejszej fantazyi, którą ludzie mają pospolicie zwyczaj poświęceniem nazywać? oto dla tego, że jest trudniejszym do spełnienia, na pozór przynajmniej. Kazio ma zdolności i ochotę tylko do książek, jestem pewien, że jeżeli nie będzie profesorem, to się minie z powołaniem; on sam pragnie się uczyć w szkole i ma obowiązek względem samego siebie uczyć się, a przecież płacze, bo mu się uroiło nałożyć sobie daleko cięższą pracę, do której jest niezdatny. I zaraz tłómaczy sobie tę fantazyę swoją tak, jak i wy wszyscy, chęcią ulżenia pracy ojcu. Takie to właśnie fantazyje własne dorodzi ludzie nazywają często poświęceniem. Jesteście prawdziwymi małymi ludźmi, moi drodzy.

Ojciec powiedział te słowa smutno, a smutek jego robił, jak wiemy, wielkie na dzieciach wrażenie. Lelewel płaczący, a umieszczony teraz na kolanach ojca, podniósł głowę:

— To... to proszę ojca, to ja mam obowiązek iść do szkół i... i tamtych uczyć?.. — wyjąkał nareszcie.

— Tak!

— To... to ja się poświęcę!.. — wybuchnął mały człowiek.

— Nie mów, że się poświęcisz, tylko powiedz, że dopełnisz obowiązku, jak się tego zresztą po synu moim spodziewałem.

— Dopełnię obowiązku — rzekł Lelewel posłusznie, ale z ciężkim westchnieniem. Ojciec uściskał go i postawił na ziemi, a on zaraz, zakładając ręce po swojemu, zapytał już poważnie, zaspokojony rozstrzygnięciem losu swojego:

— To proszę ojca, a kiedyż byłoby poświęcenie?

— Wtedy, gdybyś od tego, co jest od ciebie przez okoliczność ci wymaganem, mógł się uwolnić, i nie chciał korzystać z tej możności. Czybyś ty mógł to zrobić?

— Gdyby ojciec nie chciał, tobym nie mógł!..

— A więc się nie poświęcasz, kiedy nie masz wolnej woli do poświęcenia. Dopełniasz tylko obowiązku, ponieważ wypełniasz to, co jest od ciebie przez dobrze zrozumiane okoliczności żądane.

— A więc jak rzeczy stoją stanowczo?

— Tak, że Lelewel co wieczór wytłómaczy le-

kcye swoje na jutro zadane, a wytłómaczy je temu z nas, które najpierwsze do domu wróci, a ten, komu je wytłómaczy, będzie już resztę uczył. Bo trzeba pamiętać, żeby Lelewel miał czas sam się uczyć. Nazajutrz rano przesłuchamy się.

— To ja już w domku nie będę mieszkał — westchnął Lelewel.

— Będziesz! — zakrzyknięto chórem.

— Czekajcie! ja wiem, jak zrobić, — zawołał Paganini, przedzierzgnięty w kupca, potarł czoło w namysłach, przycisnął palec do niego, przymrużył oczy i powoli mówił: — Lelewel będzie nas uczył, więc płacmy jemu, jako nauczycielowi, a on będzie tę zapłatę do wspólnego kapitału dołączał... he? — zapytał kupiec, otwierając oczy i spoglądając po obecnych.

Wszyscy milczeli, ale milczeli dla tego, że oniemieli z podziwu nad głęboką Olesia kombinacją, która wszystkie interesa godziła. Dopiero po długiej chwili krzyknął Lelewel:

— Oto ma głowę! prawda ojczy? prawda mammo?

Ojciec zrobił głową, rękami i ramionami gest, wyrażający głębokie uznanie.

— Prawda — przyznała matka.

— Więc zgoda?

— Zgoda!!

— No, to graj, Paganini mój! — zawołał ojciec.

I bal rozpoczął się znowu.

Nazajutrz Kazio został zapisany do szkół. Zamierzone lekcye szły porządnie przez dwa następne wieczory, ale trzeciego zaszło zdarzenie historyczne niesłychanej doniosłości. Tego dnia upływał właśnie miesiąc od rozpoczęcia kupieckiej Olesia karyery, i Oleś wszedł we drzwi innym człowiekiem. Wszyscy spostrzegli w nim zmianę, choć nikt jęj nie umiał określić. Śledzono go więc zdziwionemi oczyma, przeprowadzając od drzwi do stołu, przy którym zasiadła, jak zwykle wieczorem, cała rodzina. Dopiero gdy on, doszedłszy do tego stołu, położył na nim w oczach wszystkich, na samym środku, przy samej świecy, cztery ruble!.. — wszyscy krzyknęli:

— A.. a.. a!!! — rozumiano wszystko, Oleś był kapitalistą!

On zakładał fundament pod domek w zieleni. Ale teraz powstała ważna kwestya, o której nie pomyślano dotąd: gdzie się ulokuje kapitał? W komodzie u matki; zdawała się najprostsza odpowiedź. Tak, ale kapitalista Oleś i ci, którzy mieli nadzieję także wkrótce kapitalistami zostać, woleliby móżdżek patrzeć co chwila na ten kapitał rosnący.

— Kupić glinianą skarbonkę, składać w nią kapitał, i niech stoi tu na stole.

— Kłaść w skarbonkę papierki?

— A nużby, jak ojca w domu niema, matka wyszła do kuchenki na chwilę, a tu kto niepotrzebny wpadł i... czy to nie zdarzają się wypadki!...

— Prawda! nie; stawiać na stole stanowczo nie można.

— A gdyby do ściany przybić?

— A jakby Boże broń powstał pożar? to co?

— Kupić kasę ogniotrwałą!

— Aha, tylko musimy poczekać, aż ją kto wynajdzie; nie czytałaś, co się to dzieje z papierami w ogniotrwałych kasach?

Koniec końców trzeba było wyrzec się patrzenia na kapitał. Zamknięto go w małą drewnianą szkatułkę i z nią wstawiono do szafy. Żle szła nauka tego wieczora i nie dobrze spano w nocy, bo Oleś zerwał się zaraz po północy z łóżka, krzycząc przez sen: — Złodziej! złodziej! — i wszyscy pozrywali się, biegnąc prosto do szafy. Zerwali się nawet ojciec i matka, tylko że pobiegli do dzieciennych łóżek, zamiast do szafy.

— Jednak to kłopot z kapitałem — rzekł Lelewel zamyślony nazajutrz z rana, stojąc z założonymi na piersiach rękami przed szklanką mleka i bułką.

— Ba, i jaki! a co to będzie, jak kapitał będzie większy?..

W tydzień Aneczka włożyła do szkatułki pięć rubli, a nazajutrz Kasia trzy ruble. Przyzwyczajano się do posiadania kapitału, i kłopot zmniejszał się, zamiast powiększać z jego wzrostem.

Matka raz jeden wspomniała, aby pieniądze oddawać do kasy oszczędności, ale wniosek ten odrzucono jednomyślnie; nie dość, że nie patrzone ciągle na kapitał, mianoż go jeszcze oddawać z domu? narażać się na rozstanie z nim? Rzeczy pozostały więc, jak były: pieniądze w szafie, rachunki u każdego z kapitalistów, kapitaliści na swoich posadach, a ojciec odziewał ich, jak dawniej. Co do rachunków, te utrzymywało każde z dzieci, ale żadne nie rachowało tego, co samo włożyło do szkatułki, tylko to, co ogółem już do niej włożono, bo zgodzono się przedewszystkiem stanowczo na zupełną równość między współnikami, pomimo nierówności wkładów.

Wniosek ten wyszedł od najmożliwszej ze współników, Aneczki; czterorublowy Oleś przystał na to po namyśle, ale Kazio i Kasia, porozumiewszy się, oświadczyli, że równość w użytkowaniu z domku w zieleni byłaby dla nich upokarzającą, zamawiali więc sobie tylko jeden malutki kącik w piwnicy tej nieruchomości. Ten kącik wybieli się, wycacka, założy się białe franki u piwniczne-

go okienka, które zresztą, zrobi się cokolwiek szerszém niż bywa w piwnicach, zewnątrz bluszcz ustroi to okno tak, jak i cały domek, wewnątrz będzie na niem stać tylko jeden kwitnący zawsze kwiatek w białym wazoniku, aby nie tamować przystępu światła, dla Lelewela mianowicie. Biały ten zakątek przegrodzi się szafami, w których będą książki Lelewela, z jednej strony tych szaf mieszkać będzie Lelewel, z drugiej Kasia. Ten nowy wniosek przełożono na ogólnem zgromadzeniu współników. Starsi odrzucili go, młodszy popierali. Nauka wieczorna wychodziła najgorzej na tém szlachetném współbieganiu się współników, bo Lelewel gestykulował z kredą w ręce, zamiast nią robić arytmetyczne jutrzejsze zadania. Najstarszy współnik, ojciec, rozstrzygnął spór, wyjmując kredę z ręki Lelewela i przedstawiając ją szanownemu zgromadzeniu z temi słowy:

— Czy wiecie, z kąd się bierze kreda? — a gdy młodszy współnicy zamilkli na chwilę, zdumieni tak niespodziewaném pytaniem, on dodał:

— No! Na drzewie wyrasta? czy w kłosach, jak zboże? czy z nieba spada? czy łowi ją się w wodzie, jak ryby?

Rozśmiano się chórem, a Lelewel odpowiedział, założywszy ręce i wstawszy ze swego miejsca wyprostowany:

— Kreda wykopywaną bywa z ziemi, gdzie są jęć ogromne pokłady, stanowiące wielką część kuli ziemskiej; jest to wytwór małych mikroskopijnych ślimaczków, których skamieniałe muszki odróżnić można przez mikroskop w kawałku kredy.

Ojciec wyciągnął rękę z kredą na środek stołu i rzekł:

— Oto jest jeden z głównych fundamentów świata! Utworzyły go robaczki, w każdym razie nie lepsze od was; ale czy sądzicie, że byłyby go utworzyły, gdyby były traciły czas na sprzeczki, choćby nawet te sprzeczki miały im zaszczyt przynosić?

Dzieci spojrzały po sobie; Aneczka i Oleś uśmiechnęły się, Kasia spuściła oczy, Lelewel wziął powoli kredę z rąk Ojca, i popatrzawszy na nią, począł dalej za jęć pomocą jutrzejsze zadanie rođenjeństwu wykladać.

Tak przeszedł wniosek Aneczki.

Szła tedy praca porządnie na takiej zasadzie, którą Aneczka, zakrawająca na pedantkę nauczycielkę, wypisała nawet na szkatułce z kapitałem: „Pracujmy, ile kto może, dla wspólnego pożytku”.

Ojciec skinieniem głowy dewizę tę zatwierdził, bo ostatecznie był teraz zadowolony. Dzieci uczyły się; każde pragnęło rzeczywiście przejść do drugiej klasy, wraz z Lelewelem; a urzeczywi-

stnienie tego zamiaru wymagało umysłowej pracy, która naprawdę dawała im ów balast, to jest równowagę, jakiej ojciec dla nich pragnął. Dzieci te były pomimo ubóstwa wychowane starannie, rodzice lękali się dla nich jak ognia towarzystwa dzieci źle wychowanych, a od niebezpieczeństwa takiego właśnie nauka je teraz ochroniła. Zamiast paplać z towarzyszkami w sklepie o strojach i czesaniu włosów, zamiast przesadzać się w niedowcipnych niby-dowcipach, Kasia była zajęta książką i ołówkiem lub piórem, co jej nawet o wiele mniej przeszkadzało w sklepowych obowiązkach, niż paplanie. Oleś także w każdej chwili wolnej brał w sklepie książkę do ręki, a mimo to stawał zawsze pierwszy na każde skinienie kupca i subiektów, pomimo że w dużym sklepie było kilku takich jak on, ale swawolących lub gawroniących się chłopaków.

Nauka ma istotnie to do siebie, że nigdy dziecka nie pochłania tak całkowicie, jak swawola. Przypomnij sobie nie jest to wcale próżnym morałem, że nauka ucznia; tak jest rzeczywiście. Każde dziecko, zaczynające się uczyć porządnie, przyzna, że wraz z przywdzianiem mundurka uczuło pewien rodzaj szacunku dla samego siebie. Porządny uczeń nie zada się z ulicznikiem. Dobra uczennica mimowoli, bez żadnej przesady, przybiera jednakże poważniejszy sposób obejścia z rodzeństwem, a zamiast niepotrzebnego paplania ze sługami, nieraz w chwilach wolnych nauczy kucharkę lub młodszą czytać, i sama im czytuje. Nauka istotnie człowieka ucznia. I taki też wpływ miała na Olesia i na Kasię, czego najlepszym dowodem była ta okoliczność, że kupiec i subiekt obchodzili się z Olesiem nieledwie tak, jakby on już był subiektem, a kupcowa w norymberskim sklepie, gdy odejść z niego czasem musiała, powierzała Kasi najważniejsze swoje sprawy.

Co do Aneczki, ta, jako już ucząca się oddawna, miała istotnie mniej pracy w wydzęciu Kaziovi w tym wspólnym pochodzie przez szeroki gościniec nauki, a przecież nie mogła się bez niej obejść, ku wielkiemu swemu zdziwieniu i zaraz też zarozumiałości, w którą już wpadać zaczynała, opuściła ją. Aneczka uczyła się poprzednio dobrze, ale dorywczo; więc umiała niektórych przedmiotów tyle, ile uczeń w trzeciej klasie nie umie, ale za to w innych stała bardzo nisko; a tymczasem szkolna nauka ma tę dobrą stronę, że prowadzi ucznia systematycznie i równomiernie we wszystkich przedmiotach, zakreślonych programem. Miała więc co robić i Aneczka.

Ojciec zwrócił uwagę Aneczki na tę okoliczność, a rozważna dziewczyna już sama postanowiła postępować z Kaziem razem, powtarzając

i to, co dawno umiała; a to dla tego właśnie, żeby się nauczyć systematycznego nauk wykładu; łatwo zrozumieć, że w ten sposób postępując, można wyrobić się na dobrą nauczycielkę. Przypomnij sobie Aneczka stosowała natychmiast zdobywane doświadczenie do swojej własnej uczennicy, chociaż w innym zakresie, bo nie uczyła jej przecież tego wszystkiego, czego uczą w klasach. Mała dziewczynka ta miała prócz Aneczki innych nauczycieli.

Rodzice zamierzali zawsze oddać do szkół zdolnego Lelwela, ale Paganini miał iść do stolarza, jak wiemy, Aneczka do szwalni, a Kasia do kwieciarni. Wstrzymywano się tylko z oddaniem ich z domu dla tego, ażeby przy ojcu i matce mogły się dzieci wprzódy wyuczyć zasad swojego języka, geografii, historii i arytmetyki; religia i moralność nie wchodziły w program, bo się ich tam praktycznie a bezustannie, chcąc nie chcąc uczono. Tymczasem dzieci same pokierowały sobą inaczej, a ojciec sprzeciwiać się im nie chciał, bo miał już takie zdanie, że dzieci dobrze prowadzone mogą mieć same najważniejsze na przyszłość swą poglądy czy przecucia... Nagiał więc tylko okoliczności tak, żeby dzieci nie zaniedbywały nauki przy swoich zatrudnieniach, i życie ubogiej rodziny na piętterku w oficynie poszło dalej porządnie.

Przyzwyczajono się do nowego trybu życia, kapitał rósł, pierwsze wzruszenia przeszły, czas mijał. I mógł być naprawdę mijać tak sobie aż do chwili, w którejby się przecież piętnaście tysięcy zebrało w szkatułce w szafie, gdy wtém...

Paganini wszedł pewnego wieczoru do Izby Radnej (jak nazywano izbę ze stołem, przy którym zasiadała cała rodzina), ojciec czytał kiedyś głośno jakąś książkę o Krakowie, o przedwiekowych w nim urządzeniach, i dzieci cośkolwiek z czytania tego zapamiętały, wszedł znowu z jakimś dziwnym na ruchliwej twarzy wyrazem, popatrzano na niego, on przeszedł śmiało cały pokój pod rotowym ogniem tych spojrzeń i — nie był to dzień jego miesięcznej płacy, a przecież on położył na środku stołu rubla. Szmer przeleciał pomiędzy rodzeństwem. Kazio zapłonął, bo on zawsze miał na myśli, że do szkatułki nie wkłada nic, chociaż powtarzano mu, że wkłada tam pracę swą nad rodzeństwem, i swój czas, i chociaż ojciec wkładał tam regularnie dwadzieścia pięć złotych miesięcznie pod jego imieniem, co stanowi zwyczajną płacę korepetytora.

Ojciec skrzywił się jakoś, zobaczywszy rubla.

— Zkąd? --- zapytał krótko.

Ażeby być zrozumianym, Oleś musiał dać trochę dłuższą odpowiedź.

Za sklepem, w którym służył, był mały czysty

dziejnec; za tym dzieźnecem, za parkanem, był ogródek, należący do bawaryi, to jest do restauracyi, której goście latem jedli i pili piwo w tym ogródku, a muzyka przygrywała im z estrady. Chłopcy ze sklepu, słysząc muzykę w letnie popołudnie, wdrapywali się na parkan po wozach, stojących tam często, i z parkanu przyglądali się gościom w ogródku i lepiej przysłuchiwali muzyce. Zdarzało się i Olesiu wyleźć na parkan, ale że bywało to tylko kiedyniekiedy, na jedną chwilę, i że chłopiec umiał jednak zawsze być na zawołanie, więc kupiec, który sam miał synów i własną młodość pamiętał, patrzył na to przez szpary, to jest nie gniewając się, jakby nie spostrzegał swawoli. Bo wiedział, że młodego chłopaka zawsze coś po wyżynach nosi, o co zresztą, gdyby tak było pod względem moralnym, jak jest pod fizycznym, nie trzebaby się gniewać.

Tak raz w swobodne popołudnie, jakie we wszystkich sklepach ludzie raz w tydzień kolejno mają, Oleś, zamiast iść do domu, wylaźł sobie na parkan i patrzył na ogródek, słuchając krakowiaka, w przerwach którego na rozległej estradzie śpiewano i tańczono, ku uciesze publiczności. Ale zabawa szła tego wieczora kulawo, właściciel się do publiczności uśmiechał, a w duszy się złościł strasznie, bo przyczyną wszystkiego złego był brak muzykantów, których połowę mu sąsiad odmówił. Oleś poczuł ten brak doskonale, nędznie wykonywany krakowiak podrażniał jego muzyczną duszę, to też, ani myśląc co robi, schylił się po swoje skrzypce, które na kołku parkanowym zawiesił, mając iść z niemi do domu i uciał krakowiaka, jak się należy. I zdawało się odrazu, że jego gra pełna zapału oczarowała usypiający ogródek, aktorów i gości. Tańcząca i śpiewająca zarazem para zaśpiewała z nowym życiem, wtórujący im muzykanci zabrzmieli pełnymi tony, gospodarz zerwał się zelektryzowany, goście spojrzeli na siebie, wszystkie oczy pobiegły ku parkanowi. Na parkanie siedział chłopak i grał zamasyście. Grał, a gdy smyczek spuścił, rozległ się grom oklasków, jakich ów ogródek nigdy nie słyszał.

— Tu, tu! pójdz tutaj do nas, artysto! — wołali rozochoceni goście, a najgłośnieję gospodarz, bo na ochoczy hałas, ludzie z ulicy zaczynali się tłoczyć do ogródka. Kilka par rąk pochwytiło grajka małego, żeby go zciągnąć z parkanu. Chłopiec się cofnął, prawie przestraszony wrażeniem jakie wywołał, a wtém znajomy głos zawołał na niego:

— A no chodź! — i Oleś spostrzegł najstarszego z subjektów swego sklepu, który siedząc sobie w kącie spokojnie pił piwo w ogródku i któremu także podobała się jego muzyka. To

go ośmieliło; dał się zdjąć z parkanu, stanął na estradzie i grał, co i jak umiał, publiczność rozkoszowała się małym grajkiem, zwyczajnie, jak każdą nowością, gości napływało, a gospodarz ucieszony dał mu rubla, prosząc, aby co wieczór u niego grywał.

Oleś się zakłopotał; zdawało mu się wcale inną rzeczą zagrać sobie raz na parkanie czy estradzie ze swawoli, a inną grać w bawaryi za pieniądze; wahał się, czy ma wziąć dawany mu pieniądz? Nareszcie wziął go dla tego, żeby się patrząca gawiedz nie śmiała, ale pobiegł natychmiast do samego kupca, opowiedział mu całą przygodę i spytał, czy ten pieniądz wziąć należy. Kupiec powiedział, że pieniądz zarobiony wziąć można, ale zobowiązywać się do grania nie trzeba, dopóki ojciec na to się nie zgodzi. Olesiu też ani przez głowę nie przeszło inaczej zrobić. Z taką tedy powieścią, z niespodzianym przyczynkiem do kapitału i z takim pytaniem stawił się obecnie przed ojcem w Izbie radnej.

Ojciec stanowczo grać w ogródku zabronił, ponieważ takie miejsce zabawy, nie bardzo zresztą zabawnęj, niestosowne jest dla dzieci, a co najwężniejsza, ponieważ kilkogodzinne wieczorne granie także mogło już być nad siły młodego chłopca, pracującego w sklepie, i nad nauką. Ojciec nie dopowiedział wszystkiego, bo nie chciał dzieci do nauki napędzać, ale w gruncie najbardziej mu o to chodziło, żeby chłopiec jęj właśnie nie zaniedbał.

Oleś za dobrze znał swego ojca, żeby się miał innęj odpowiedzi spodziewać; to też ani się zdziwił, ani zmartwił; ale przygoda na parkanie zawróciła mu głowę na nowo, poddawszy myśl, że jego muzyka coś jest warta. Życie codzienne i wieczorne posiedzenia szły swoim trybem, lecz odtąd wszyscy widzieli, że z Olesiem dzieje się coś nieodgadnionego, bo bywał zadumany i poważny, jakby Lelewelem został. Aż raz wszedł na zgromadzenie pewnym krokiem, z czołem do góry podniesionem i na stole dwadzieścia cztery dziesiątki położył; była to zapłata za lekcyę, jakie zgodził się dawać, i jakich już dał dwanaście jednemu ze starszych kolegów, który się chciał tanio wyuczyć grać na skrzypcach. Ojciec nie powiedział nic; umyślnie, aby znaczenia tego nowego objawu nie podnosić, i rozmową z matką rzecz zagadał; ale właśnie po tym sposobie przyjęcia wiadomości owęj poznały dzieci, że mu miłą nie była. Na nich zrobiła ona wrażenie takie, jakie podcięcie batem robi na spokojnie idącym koniu, wszyscy podskoczyli, wszyscy spłonęli, radosne spojrzenia skierowały się na biedne dziesiątki, nowy bodziec do współubiegania się. Taktyka ojca ostudziła to wrażenie. Rumieńce zgasły i ani jednem słowem:

nie podniesiono téj sprawy. Ale nauka znowu źle szła tego wieczora, skrzypce ani śpiew nie ozwały się wcale i z tajonemi westchnieniami ułożono się spać nareszcie. Ale, że było to jakoś niezadługo po przejściu Kazia do drugiejj klasy, czém wszyscy mocno byli zajęci, i że podówczas rozbijała się także kwestya owego zamierzonego wyjazdu ojca w celu malowania pałacu na wsi, przeto ojciec miał nadzieję, że nowy sposób zdobywania grosza przez Olesia przejdzie bez żadnych następstw, i że drugi rok nauki, wcale nieźle idącćj, znów szczęśliwie upłynie. Tymczasem, nie dalej jak w tydzień, Kasia zażądała i otrzymała podwyższenie o dziesięć złotych płacy swojej, ale z obowiązkiem utrzymywania sklepowych niewielkich wprawdzie rachunków, co jęj czas zabierało.

Ojciec jeszcze milczał, ale gdy Aneczka nawet bez wiedzy rodziców pomieszczenie swoje zmieniała, podjąwszy się trudniejszych obowiązków przy dwojgu dzieciach, dla zyskania płacy podwójnej, on, jakby dziesięciu rubli położonych na stole nie widział, wziął książkę, z którą przyszedł do Izby Rådnej i spokojnie w głos czytać zaczął. Zdarzało się to nieraz, gdy natrafił na coś bardzo godnego czytania, a w takich razach wszyscy współnicy kapitaliści brali do rąk roboty ręczne i słuchali. I teraz stało się tożsamo, chociaż smutno jakoś, bo wszyscy dobrze widzieli, że ojciec nie pochwała ich chciwości na pieniądź, a przecież poddawali się jęj. Uczucie winy ciążyło na swobodnej przed niedawnym czasem gromadce, wyjąwszy Kazia, którego właśnie przeciwnie dręczyła chęć popełnienia téj winy, czego dotąd w tajemnicy napróżno na różne sposoby próbował. Ojciec czytał.

— Mała dolina, tak zwana Dolina Róż, ukryta w najmilszym zakątku Szwajcaryi, była w tych czasach widownią okropnego zdarzenia. Ażeby jednakże je zrozumieć, musimy cofnąć się w przeszłość cokolwiek. Nie dawniej, jak przed trzema laty, kwitnący wieczną wiosną zakątek ten zaludniały cztery rodziny góralskie, ludzie piękni, zdrowi i weseli, zamieszkujący w czterech domkach pięścielkach, żyjący ze swobodnych starań około trzód swych i ziemi. Była to prawdziwa Arkadya. Nie mogło tam być i nie było, ani nędzy, ani cierpienia, ani nieszczęścia, ponieważ nie było żądź.

Trzy lata temu po raz piérwszy cywilizacya, w postaci podróżującego kramarza, postawiła stopę w tym rajy. Kramarz szedł, a za nim konik ciągnął wózek z całym kramem jego. Cała małeńka ludność do ostatniego dziecka wyległa z domów, kupować i sprzedawać nie było co, ani po co, ale koń i wózek były przedmiotem podziwu. W tym rajy nie znano konia i wozu. Trudno te-

mu uwierzyć, a jednakże tak było. Nie znano, ale mimo to poznawszy, zrozumiano zaraz pożytek, jakiby z nich mieć można; i piérwsza żądź, żądź posiadania choć jednego, jedynego konika i wózka dla wspólnej wygody, opanowała cztery szczęśliwe dotąd rodziny. Postanowiono pracować, jak kto potrafi, byle kupić na wspólkę przedmioty ogólnego pożądania.

I pracowano. Jedni wyrabiali małe spręciki z drzewa i biegali z nimi daleko na sprzedaż. Drudzy płody ziemi i nabiał trzód, które dotąd spożywali sami, teraz odejbowali od ust sobie i nosili na sprzedaż; ale że tego wszystkiego było bardzo mało, a konie i wózki były bardzo drogie, przeto w pocie czoła zbierane grosze pomnażały się niezmiernie powoli.

A tymczasem ludność, ogarnięta szalem zysku, zapominała też powoli o wszystkim, co nim nie było. Zapominała o wspólnej miłości, bo przy współbieganiu o grosz już i zazdrość pomiędzy nich się wkrađała. Zapominała o należnym poważaniu dla starców swoich, mianowicie dla jednego z nich, który sam jeden nie pochwałal ich szalu i nie ulegał mu. Zapominała także spoglądać ku niebu, na którym się rysowały śnieżne wierzchołki gór. A środki zarobku wyczerpywały się, aż wyczerpały.

Wtedy jeden z zagorzalców, wracając z targu, na który nosił ostatki swego mienia, przyniósł ze sobą strzelbę, narzędzie nieznanie w dolinie. Właśnie gdy szedł z nią, ujrzał dziką kozę, przeskakującą z góry na górę. Człowiek ten dostał strzelbę i nauczył się używać jęj; w celu zabijania kóz na sprzedaż. Teraz więc wziął kozę na cel:

— Stój! — krzyknął wyżej wzmiankowany starzec — nie strzelaj! bo jak wiesz, jest tu stara przepowiednia, iż póty naszej doliny, póki duch gór naszych strzału nie usłyszysz.

Tak wołał starzec, biegnąc ku zagorzalcowi, ale ten, opanowany szalem chciwości i drwiący już ze wszystkiego, co nie było zyskiem, nacisnął cyngiel i strzał padł. Kozą znikła, jakby ona sama duchem gór była, ale straszny huk, niby po milion razy spotęgowane echo strzału, rozległ się w powietrzu i zanim nieszczęsny strzelec pojął, co się dzieje, już straszna lawina, oderwana wstrząśnieniem powietrza przez strzał, przysypała różaną dolinę na wieki, różany grób goniącćj za groszem ludności. Tenże sam wspomniany już raz kramarz, handlujący od lat trzech z doliną, zbliżając się do niej właśnie w owęj chwili, widział z dalekiego wzgórza całe nieszczęście i on to je opowiedział.

Ojciec przestał czytać i spoglądał po twarzach, na których malowało się przerażenie i jakby nieokreślona jakaś praca myśli, gdy wtém Kazio, któ-

ry wysłuchał czytania, stojąc nieporuszony w zwykłej swój postawie, przystąpił z tyłu do krzesła ojca, spojrzął w roztwartą jeszcze książkę, i pomimo właściwej sobie powagi, krzyknął:

— A ojciec co czyta, kiedy to jest dzieło o technice, które zawsze u ojca na stole leży?!

Ale ojciec nic nie odpowiedział, tylko położywszy techniczne dzieło na stole, patrzył po dzieciach. I dzieci patrzyły na niego, potem na siebie wzajem i na matkę, a dostrzegłszy na jej ustach uśmiechu, a w oczach czegoś błyszczącego, spuszczały oczy.

— To cóż ojciec każe? czy mamy wyrzec się pięknego domku w zieleni? czy mamy porzucić wszystko, i zabrać się do tych zajęć, jakie nam ojciec przeznaczał? — spytała po długim milczeniu Aneczka. A w głosie jej i w oczach wszystkich była gotowość do posłuszeństwa.

(D. c. n.).

## Odpowiedzi od Redakcyi.

**P. A Zaleskiej.** Prenumerata roczna *Wieczorów* wynosi rs: 5 — rubel przeto przysłany nadto jest u nas do rozporządzenia Pani.

**Joasi R. w Domoradzynie.** Żądany numer 7 wysłany wraz z dodatkami jakie się znalazły.

**Alince Św. w Markowcach.** Łamigłównki, bardzo dobrze ułożone i porządnie napisane, wydrukujemy niezadługo w naszym *Pisemku*. Prosimy o dłuższy liścik z wiadomością, które powiastki i opowiadania najwięcej kochaną naszą czytelniczkę zajmują.

**Maryni Ch. w Grodnie.** Trafne i ładnie napisane rozwiązanie łamigłównki odczytaliśmy z wielką przyjemnością, ale więcej nas jeszcze ucieszyła pomyslna wiadomość o zdrowiu miłej naszej korespondentki. Tęm bardziej wdzięczni jesteśmy za liścik, że przygotowania do egzaminu dużo zabierać muszą czasu, a ważniejsze są niezawodnie od wszelkich innych zajęć. Serdeczne zasyłamy życzenie, aby egzamina poszły pomyslnie, a wtenczas pewnie otrzymamy dłuższy liścik z tą wiadomością.

**Pani H. w Iwańsku.** Łamigłównkę zgłoszkową chętnie zamieścimy w naszym *Pisemku*, równie jak zagadkę historyczną, która jednak tylko do Dodatku dla młodszej dziatwy może być stosowną. Ale co się tyczy tłumaczeń, te wyjątkowo tylko zamieszczamy w naszym *Pisemku*, a wówczas zwykle są wybrane i opracowane przez osoby należące do redakcyi. Rękopis zatem jest do zwrotu.

## Rebus graficzny. (J. P.).

yes	tto	_____	wiara
			nadzieja — miłość
mać			
mać			zęby   język
mać			

## ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA (M. K.).

Z następujących zgłosek: aal — ba — bi — borg — dward — e — go — i — ja — la — lój — lów — o — ski — wa — ułożyć 8 wyrazów: 1. Wielka wyspa. 2. Miasto w Danii. 3. Pustynia w Azji. 4. Osada w warszawskiej gubernii. 5. Imię. 6. Dawna nazwa rzeki słowiańskiej. 7. Tłuszcz. 8. Naród starożytny. Początkowe głoski, odczytane z góry do dołu i końcowe, z dołu do góry tworzą nazwisko króla polskiego i imię jego małżonki.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

### Zagadki mnemoniczne:

Ałusztą w dzień.

Droga nad przepaścią w Dżehud-Kale. Ajudah. (Sonety krymskie).

MICKIEWICZ

Krudowski.

Kur.

Wosk.

Sok.

Kir.

Kruk.

Kos.

Rok.

## Ogłoszenie.

Biblioteka matematyczno - fizyczna wydawana przez Maryana Baranieckiego z zapomogi kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

Serya I. Tomy II i III.

Wiadomości początkowe z fizyki S. Kramsztyka.

Kartonowane 103 drzeworyty. Cena części I kop. 30, II kop. 45.



# WIECZORY RODZINNE

## DLA MAŁYCH DZIECI.

### FIOŁKI.



Stefcia poszła na przechadzkę z Ciocią. Przechodziły przez śliczną łączkę zieloną. Na tej łączce pasły się gęsi i żółte gąsiątka, a dwie dziewczynki wiejskie ich pilnowały.

Stefcia знаła te dziewczynki i wiedziała, że jedna nazywała się Kasia,

a druga Józia. To były córki Grzegorzowej młynarki.

— Dzień dobry, Kasiu, dzień dobry, Józiu — powiedziała Stefcia.

— Dzień dobry panience — odpowiedziały grzecznie obie dziewczątka.

Ale Stefcia spostrzegła, że Józia miała oczki zapłakane i teraz jeszcze ocierała je fartuszkciem.

— Co tobie, Józiu? — spytała — czego płaczesz?

Józia nic nie odpowiedziała, tylko znów oczki otarła fartuszkciem.

— Powiedz nam, Józiu, czy ci się co stało? — pytała Ciocia, zbliżając się do dziewczynki.

Józia ciągle milczała i twarzyczkę zakryła rączkami, aż w końcu Kasia za nią odpowiedziała:

— Bo to, proszę paniusi, ona uciekała od gąsiora, od tego dużego, co to taki zły i tak syczy, zaczęła się o krzak, i rozdarła nowy fartuszek, a teraz Matula będą łajali.

— A pokażno, Józiu, fartuszek — mówiła Ciocia — czy bardzo rozdarty? możeby się to dało zacerować.

— Ale, kiedy ja jeszcze nie umiem cero-

wać, a Matula czasu nie mają, to będą bardzo łajali.

— Pokażno, pokaż — mówiła dobra Ciocia — ja tu mam właśnie w kieszeni igły i nici, ol i napaterek jest. Odwiążno fartuszek i daj, a ja ci ślicznie zaceruję.

— O, paniusiu złota! — zawołała Józia uradowana, i prędziutko odwiązała fartuszek i podała Cioci.

A Ciocia usiadła na zrąbanej kłodzie, włożyła napaterek, nawlekła igłę nitczką i tak ładnie zacerowała rozdarty fartuszek, że prawie nie widać było cery pomiędzy kolorowymi paskami.

— Ale pamiętaj, Józiu — rzekła Ciocia, oddając dziewczynce fartuszek — żebyś nie ukrywała tego przed Matką, jak wrócisz do domu, tylko przyznała się do wszystkiego, a pewnie ci przebaczą.

— O! już teraz Matula nie będą się gniewali, jak obaczą takie przesliczne cerowanie, bo tu u nas nikt w całej wsi tak nie potrafi — mówiła Józia zupełnie już wesoło, całując w rękę dobrą Ciocię.

Stefcia i Ciocia poszły dalej aż do lasku i w godzinę dopiero wracali znowu przez tę samą łączkę. Dwie dziewczynki siedziały zawsze przy swoich gąskach. Józia obaczyła Ciocię i Stefcię z daleka, zerwała się i podbiegła do nich. Trzymała w ręku trzy bukieciki przeslicznych fiołków, świeżo zerwanych.

— Proszę paniusi! proszę panienki! — wołała, podając dwa bukieciki Cioci, a jeden Stefci.

Nadeszła i Kasia, a że była gadatliwsza od siostrzyczki, więc niepytana odezwała się:

— Ona tu tak rozmyślała, czémby to paniusi odsłużyć za ten fartuszek, a ja jej powiedziałam, że wszystkie panie bardzo lubią fiołki i obieśmy nazbierały samych pachnących.

Ciocia pocałowała w czoło obie dziewczynki i rzekła:

— To bardzo dobrze, moje dzieci, że macie takie wdzięczne serduszka.

A gdy odeszły, Stefcia powiedziała.

— Moja Ciociu, jak to przyjemnie zrobić komuś przysługę.

## Jak łakomcom bywa.

— Znów ten rosół obrzydliwy,  
Potém mięso pewno będzie;  
Tak narzekał Staś swarliwy,  
Siedząc z Tatą przy obiedzie.

— Pozwól, Tato, choć raz przecie  
Nie jeść zupy, ni jarzyny,  
Ale za to zjadłbym z chęcią  
Ten półmisek leguminy.

— Chętnie, synku — rzecze Tato,

— Lecz warunek mój jest taki:  
Gdy zostawisz trochę, za to  
Zjesz ten rosół i buraki.

Staś łakomie pokosztował,  
Połykając ciągle ślinkę,  
I kosztując po troszeczkę,  
Połknął całą leguminę.

A w godzinę.... piguleczki....  
Rabarbarum, różne proszki,  
Bolał brzusek go i główka,  
Pił rumianek nawet gorzki.

A figlarna Mania pyta:  
Coś, braciszku, kwaśna minka,  
Widać niezbyt smakowita  
Była dzisiaj „leguminika“.

*Maryja Ciówicka.*

## DOBRY KOLEGA.

Wacusz często bardzo dostawał od rodziców i Babuni pieniądze. Czasem idąc do szkoły dawał grosiki, ba nawet i dziesiątki ubogim, częściej jednak kupował przysmaczki, któremi się zresztą zwykle dzielił z kolegami. Wacusz, choć się bardzo dobrze uczył, był jeszcze młodziutki. miał dziesięć lat i bardzo lubił zabawki.

U jednego pana widział fabrykę narzędzi rolniczych, wielkości dwóch łokci kwadratowych, w której z niezmierną dokładnością lalki siłą pary ruszały się i dokonywały

rozmaitych czynności ślusarskich, stolarskich i t. p. Była to śliczna i pouczająca zarazem zabawka. Wacusz, który się wybierał być inżynierem, zawsze powtarzał w domu, że gdyby tę fabrykę miał przed oczami, prędkiejby doszedł do upragnionego celu.

Uzbieraj sobie pieniędzy, przestań na łakocie wydawać, a ja ci chętnie dopomogę — przyrzekała Mama.

Odtąd napróżno Mosiek nadstawiał koszyk z pachnącemi pierniczkami i makaronikami swemu zwyktemu kupcowi. Wacusz nosek zatykał, oczy odwracał, ale postanowienia nie zmieniał. Najprzykrzejszemi mu były żarty kolegów, którzy przywykli do wspólniających uczt jego, dziś skąpcem go zwali.

Ale już tak blizkim był upragnionego celu... że ta myśl go pocieszała. Jak im kiedy maszynkę pokaże, to pewnie więcej przyjemności sprawi, niż łakociami.

Pewnego razu, kiedy wracał z oględzin ulubionej zabawki, spotkał ze smutnie zwiędzoną głową idącego Stasia. Z początku ucieszył się smutkiem kolegi, który go niejednokrotnie, dzięki swój sile, poturbował i z drwiącą miną kłaniając mu się:

— Jak się masz Samsonie — (tak bowiem koledzy przewali Stasia) zapytał?

— Nie mam chęci do żartów — odpowiedział Staś łagodnie — właśnie wracam ze szkoły, zapytywałem, dla czego mimo dobrej cenzury każą mi wpis zapłacić, kiedy dobrze wiadzą, iż prawie nędza jest u nas w domu... Bo masz wuja bogatego — usłyszałem w odpowiedzi. Poszedłem do Wuja, który po długim narzekaniu na ciężkie czasy i tę lichą pomoc, której nam udziela od czasu do czasu oświadczył, iż widocznie coś zawiniłem, kiedy mi władza szkolna pomocy odmawia, a zatém i on moich wybryków pobłażać nie myśli. Idę więc, ale nie do domu, bo jak to matce taką wiadomość przynieść? Ona całą nadzieję przyszłego bytu siostr i brata małego widzi we mnie!..

— Słuchaj, Stasiu — jękając się przerwał Wacusz — gdybyś nie pogardził moją pomocą, to moglibyśmy tę sprawę jakoś zakończyć. Ja mam kilkanaście rubli niepotrzebnie leżących, weź je, kolego, a największą sprawisz mi tęp rozkosz.

— Jaktó! zawołał Staś — ty, któremu najczęściej dokuczałem, w tak stanowczej chwili podajesz mi rękę? O, Wacusiu, przyjmuję tę wielką ofiarę ze względu na mą biedną

Matkę; pozwól mi jednak, bym ci oprócz wdzięczności pierwszemi zapracowanemi pieniędzmi ten dług mógł oddać...

I chłopczyki uściśnieniem ręki zawarli przyjacielski związek. Wacusi wracał do domu tak uszczęśliwiony, że o ulubionej maszynce zupełnie zapomniał. Dopiero kiedy w przystępie wesołości zaczął po stołkach skakać i dowcipna siostrzyczka Marylka zadała mu pytanie:

— Cóż to, Panie Inżynierze, za most nowomodny? — Zarumienił się chłopczyzna, przypominając sobie, że maszynka stracona dla niego. — Ej co tam — pomyślał po chwili — i tak będę inżynierem.

Tymczasem Staś podobno mimo danego słowa powiedział Mamie Wacia pod sekretem, kto za niego wpis zapłacił. Jak się Mama ucieszyła dobrem sercem Wacia i tём, że potrafił przezwyciężyć swą niechęć do kolegi, tego wam opisać nawet nie mogę. Wiem tylko o tём, że upragniona maszynka, starannie ukryta, oczekuje wigilii Bożego Narodzenia, by się okazać. A robotnicy niecierpliwie stoją z młotami do góry podniesionemi, oczekując na popis przed dzielnym chłopczykiem.

Ach, gdyby takich Wacusiów więcej na świecie było!

*Marya Ciświcka.*

## Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

*(Dalszy ciąg.)*

— Żeby to okręt zatrzymał się tu choć na godzinę — powiedziała Zosia — poszlibyśmy z Tatką przejść się troszkę na brzegu. Ta trzcina tak zupełnie wygląda, jak las, bardzo bym chciała ją zobaczyć z bliska.

— Niechże Bóg broni, abyśmy mieli się zbliżyć do tych zarośli trzciniowych — rzekł Ojciec — tam w gąszczach ukrywają się straszliwe węże i straszliwsze jeszcze tygrysy. Całe te wybrzeża są niezamieszkałe, ziemia tu wszędzie jest bagnista, powietrze bardzo niezdrowe, pełno drapieżnego zwierza. Nie, moje dzieci, nigdy tój okolicy nie będziemy zwiedzali, patrzmy na nią z daleka, ale nie zbliżajmy się do niej, bo tam tysiące niebezpieczeństw zagraża ludziom.

Wybrzeże to wyglądało naprawdę ponuro

i smutno, nie widać było, ani pięknych drzew palmowych, ani świeżej zieloności łąk, tylko wszędzie te sitowia, na które dzieci patrzyły teraz ze strachem, odkiedy się dowiedziały, że w nich się ukrywają takie straszliwe zwierzęta. Zosia powiedziała nawet, że prawdziwe Indyje wcale nie takie ładne, jak wyspa Cejlon.

— Poczekaj, poczekaj — rzekł Ojciec — niechno przybędziemy do Kalkuty, a ztamtąd dostaniemy się do naszego wiejskiego mieszkania.

Tymczasem i tu już zaczynało się robić ładniej. Zamiast trzcini szarawych ukazywały się wysmukłe palmy kokosowe, nakoniec pośród gajów zielonych ujrzały dzieci piękny pałacyk z białymi kolumnami.

— Kalkuta! Kalkuta! — wołały z radością.

— O, jeszcze nie — mówił Ojciec — to jest wiejskie mieszkanie, do miasta jeszcze daleko.

— A czy i my będziemy w takim wiejskim pałacyku mieszkali? — zapytał Adaś.

— My będziemy mieli duży dom drewniany, niezbyt ozdobny, ale wygodny i z pięknym ogrodem — rzekł Ojciec — na tych bagnistych wybrzeżach rzecznych często ludzie na straszne febry i gorączki chorują. Nie chciałem więc, abyście tu mieszkali i wystarałem się dla was o domek po tamtej stronie Kalkuty, w zdrowej okolicy.

— A czy tam są palmy w tym naszym ogrodzie i kokosowe orzechy? — zapytała Zosia.

— Są tam najpyszniejsze owoce indyjskie — powiedział Ojciec — postarałem się o to, aby dziatwie mojej niczego nie zabrakło. Spodziewam się, że zdążymy na Boże Narodzenie do domu.

Nakoniec okręt zatrzymał się w porcie i dzieci wysiadły z rodzicami na ląd. W mieście Kalkucie nocowali nasi podróżnicy w wygodnym hotelu, a nazajutrz rano mieli natychmiast wyruszyć dalej do wiejskiego swego mieszkania.

— Czy znowu będziemy podróżowali w palankinach? — zapytała Mama.

— Tak — rzekł Ojciec — w palankinach dostaniemy się za miasto, a tam... — tu schylił się do ucha Mamy i powiedział jój ci chutko parę słów, a Mama się uśmiechnęła, popatrzała na dzieci i powiedziała:

— O, cóż to będzie za niespodzianka!

— Niespodzianka? — powtórzył Adaś i Zosia, przyskakując do Mamy — cóż to za niespodzianka?

— Zobaczycie, zobaczycie — rzekł Ojciec — nie byłoby niespodzianki, gdybyście naprzód wiedzieli.

Dzieci były niezmiernie ciekawe, ale się nie dopytywały więcej, bo wiedziały, że to niegrzecznie i czekały cierpliwie. Adaś nie powiedział ani słowa, tylko się ciągle uśmiechał, patrząc to na Ojca, to na Mamę, a Zosia nie mogła się powstrzymać i co chwila klaskała w rączki, powtarzając:

— Co to będzie? co to będzie?

I znów, tak samo, jak w Cejlonie, Mama z Zosią wsiadła do jednego palankinu, a Ojciec z Adasiem do drugiego i tragarze, Indyjanie o ciemnych twarzach, nieśli ich szybko przez ulicę Kalkuty. Minęli nakoniec ostatnie domy miejskie i zbliżali się do pięknego lasku, gdzie rosły piękne drzewa, niepodobne wcale do naszych.

— Tu wcale nie jest gorąco w tym lasku — rzekł Ojciec — może się przejdziemy piechotą troszkę, dzieci obaczą z blizka te ładne drzewa.

— O, dobrze, dobrze, — mówił Adaś — Tata nam powie, jak one się nazywają, bo to nie palmy, zupełnie jakoś inaczej wyglądają — i wysiedli. Rodzice z dziećmi szli naprzód, a tragarze nieśli za nimi palankiny.

— A jakie tu mnóstwo ptaków w tym lasku! — wołała Zosia — i także niepodobne do naszych. — Ach, Tatko kochany, czy to czasem nie papugi? doprawdy zupełnie podobne do tych papug, cośmy je na obrazkach widzieli; takie prześliczne, kolorowe mają skrzydła i dzioby zagięte. A jakie one zabawne, te ptaki, nic a nic się nie boją i nie uciekają, tylko patrzą na nas i krzyczą.

— Cieszę się, że moja córeczka jest taka uważna i pamięta to, co na obrazkach widziała. Pomędzy temi ptakami jest rzeczywiście dużo papug.

— A czemu one nie gadają, Tatko? — pytał Adaś — toż papugi podobno umieją gadać, jak ludzie.

— Można je nauczyć wymawiać niektóre wyrazy — rzekł Ojciec — ale tu w lesie nikt sobie tego trudu z niemi nie zadaje, więc umieją tylko krzyczeć po swojemu przeraźliwym i niezbyt przyjemnym głosem.

— Ach, doprawdy, jakież one są śmiałe! — mówił Adaś — jedna usiadła tak niziutko, że możnaby ją złapać; nic a nic się nie boi.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

### Zagadka historyczna. (Tadzio Kr.)

Jestto ziemia, leżąca nad wodą, zkąd i swą nazwę otrzymała. Wedle podania historyków, ziemia ta przechodziła smutne i nadzwyczaj burzliwe koleje. Różne ościenne państwa nią władaly, przez czas długi należała do Polski, od której w końcu oderwaną została. Stolicą tej ziemi jest miasto bardzo stare, leżące przy ujściu znanej rzeki. Jak się nazywa ta ziemia i to miasto?

### Łamigłówka zgłoskowa. (G. T.)

Z następujących zgłosek: ~~o~~ ~~o~~ ~~it~~ ~~li~~ ~~ł~~ ~~mi~~ ~~na~~ ~~no~~ ~~war~~ — ułożyć pięć wyrazów: 1. Miasto dawniej tureckie i wtenczas w historii polskiej wsławione. 2. Rodzaj ziemi. 3. Zwierzę. 4. Imię biblijne. 5. Metal. Pierwsze litery, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwę miasta na Litwie, ostatnie, od dołu do góry, rzeki w Królestwie Polskiem.

Rozwiązania do Nr. 12-go.

### Łamigłówki zgłoskowej:

Serb.

Tamiza.

Egipt.

Ferro.

Aligator.

Niderlandy.

Stefan Batory.

### Łamigłówki kryształowej.

Z

B Y K

Z E G A R

Z Y G M U N T

D R U T Y

I N O

T